

# Steffen Junior, Edward

---

## Nieprzejednany wróg wszelkiej przemocy

---

Przegląd Pruszkowski nr 1, 42-58

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Nieprzejednany wróg wszelkiej przemocy



Edward Steffen - senior

Edward Gustaw Steffen, lekarz psychiatra, urodził się w 1876 roku w osadzie fabrycznej Choroszcz pod Białymstokiem, gdzie ojciec jego, a mój dziadek, Karol Adolf Steffen pracował w zarządzie dużej fabryki sukna, własność Moesów.

Następnym miejscem pracy mojego dziadka były Topole położone w podobnej odległości od Białegostoku jak Choroszcz. Dziadek zarządzał fabryką sukna, produkującą głównie na potrzeby wojska. Wyroby były tu również farbowane, wykorzystywane nie tylko na potrzeby Cesarstwa Rosyjskiego, ale i zagranicą. Szczególne zapotrzebowanie obejmowało pierwszy dziesięć lat bieżącego wieku, okres Wojny Japońsko-Rosyjskiej. Tu, w Topolach, rodziły się dalsze dzieci moich dziadków - trzy córki i

syn, który zmarł w wieku 2 lat. Dzieci były chrzczone w Niewodnicy u księdza Dowbora, zaprzyjaźnionego z naszą rodziną.

Ojciec mój po osiągnięciu wieku szkolnego został oddany pod opiekę swoich dziadków ze strony matki Amelii, mieszkających w Kielcach, gdzie odbył naukę w państwowym gimnazjum, znanym z literatury. Uczył się tu - między innymi - Stefan Żeromski. Wiosną 1885 roku ojciec zdał egzamin maturalny z odznaczeniem złotym medalem, co umożliwiło mu dalsze studia w Moskwie na wydziale lekarskim, który obok petersburskiego w Akademii Wojskowo-Medycznej, uchodził za przodujący w Cesarstwie Rosyjskim. Ojciec wyrażał się z uznaniem o poziomie nauczania i osobowości profesorskiego grona. Wymieniam najważniejszych. Fizjolog Sieczenow,

zaliczany do światowej czołówki w tej dziedzinie wiedzy. Profesor Nił Fiłatow, pediatra, dyrektor dziecięcego szpitala. O zdolnościach tego profesora ojciec mówił z przejęciem.

Z dwóch profesorów Korsakowów (bracia) - jeden był psychiatrą znanym ze swojej pracy przekazanej pod nazwą psychozy Korsakowa powiązanej z przewlekłym nadużyciem alkoholu. Drugi był profesorem dermatologii i wenerologii. Potrafił zaimponować nie tylko wiedzą ale i sposobem jej przekazywania słuchaczom. Ojcu mojemu zwrócił uwagę, żeby starał się o dyplom z odznaczeniem, tak zaimponowała mu historia choroby wyznaczonego ojcu do obserwacji pacjenta.

Wśród personelu pedagogicznego byli, co prawda nieliczni, Polacy. Ojciec wspominał sympatyczną postać prosektora Skotnickiego, który po pierwszej wojnie światowej objął pracę w Uniwersytecie imienia Stefana Batorego w Wilnie. Niestety, niedługo tam pracował. Dalszych losów tego profesora nie znam.

Osobiście poznałem docenta petersburskiej akademii Władysława Władyczkę, współpracownika psychiatry profesora Bechtierewa i fizjologa znanego w szerokim świecie - Pawłowa. x)

Docent Władyczko odwiedził w pierwszych miesiącach po wybuchu Rewolucji Lutowej psychiatryczny punkt Czerwonego Krzyża, prowadzony przez ojca.

Zakres działania prowadzonego przez mojego ojca punktu psychiatrycznego obejmował teren północno - zachodniego frontu. Docent Władyczko był wówczas w randze generała majora. Nosił order Św. Włodzimierza wysokiej klasy. Zachował się bardzo uprzejmie, rozmawiał wyłącznie po polsku. Docent, po wojnie już profesor, pracował przez krótki czas na Uniwersytecie w Wilnie.

Nie mogę pominąć faktu, że wśród docentów i profesorów Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Moskiewskiego byli Polacy, co prawda nieliczni, którzy indagowani przez studentów Polaków niechętnie nawiązywali rozmowę w języku polskim, tłumacząc się, że w państwowej instytucji polska mowa nie jest przyjęta. Jeden z dwóch braci docentów Polaków na wydziale lekarskim, który uchylał się od rozmowy w języku polskim, trafił za moich lat studenckich na Uniwersytecie Warszawskim na katedrę patologii ogólnej. Rozmawialiśmy oczywiście po polsku, kiedy stawiałem się na egzamin z patologii ogólnej. Ukazał się również odpowiedni podręcznik tego przedmiotu w języku polskim.

O czasach studiów na Uniwersytecie Moskiewskim opowiadał mi młodszy od mojego ojca lekarz, Polak - wychowanek Korpusu Paziów, w

---

x) Laureat Nagrody Nobla

okresie I wojny światowej przydzielony do "Stawki" naczelnego wodza Armii Rosyjskiej.

Lata na uniwersytecie ojciec odbył bez żadnych kłopotów, dyplom otrzymał jesienią 1900 roku. W listopadzie tegoż roku odbył się ślub ojca z naszą matką Antoniną, z którą był zaręczony już w Kielcach przed studiami medycznymi w Moskwie. Z lat uniwersyteckich przechowywana była przez matkę pokaźna ilość listów pisanych do siebie przez oboje: matkę i ojca. Trwało to przez pięć lat, podczas których rzadko się widywali ze względu na odległość Kielc czy Białegostoku od Moskwy.

Po ślubie rodzice wyjechali do Wilna, gdzie ojciec pracował przez 6-8 tygodni w oddziale ginekologiczno - położniczym. Po tym praktycznym przygotowaniu, niezbędnym lekarzowi udającemu się na prowincję, rodzice wyjechali do miasteczka Kałuszyn na drodze między Mińskiem Mazowieckim a Siedlcami. Praca w tym ośrodku okazała się trudna i raczej niewdzięczna. Na miejscu trochę warsztatów rzemieślniczych, małe sklepiki, własność ludności żydowskiej.

Poza miastem sporo rozrzuconych gospodarstw wiejskich. Liczni pacjenci przychodzący do domu lekarza o różnych porach - nierazdo oczekujący po kilka a nawet kilkanaście godzin. Uciążliwe wyjazdy zaprzęgami konnymi, szczególnie do przedłużających się porodów. Ojciec szybko dał się poznać jako troskliwy lekarz, który pobierał wyjątkowo skromne honoraria, nie wystarczające na wydatki bieżące. Sytuację ratowała moja babka Florentyna, matka mojej matki, która z własnych oszczędności wyrównywała domowe niedobory.

Poza miastem sporo rozrzuconych gospodarstw wiejskich. Liczni pacjenci przychodzący do domu lekarza o różnych porach - nierazdo oczekujący po kilka a nawet kilkanaście godzin. Uciążliwe wyjazdy zaprzęgami konnymi, szczególnie do przedłużających się porodów. Ojciec szybko dał się poznać jako troskliwy lekarz, który pobierał wyjątkowo skromne honoraria, nie wystarczające na wydatki bieżące. Sytuację ratowała moja babka Florentyna, matka mojej matki, która z własnych oszczędności wyrównywała domowe niedobory.

W dniu trzynastym października 1901 roku urodziłem się ja, a były to imieniny mojego ojca. Pobyt rodziny mojej w Kałuszynie zakończył się wiosną 1902 roku. Rodzice przenieśli się do Stanisławowa położonego u granic Warszawy, od strony wschodniej. I tu powtórzyły się kłopoty już poznane w Kałuszynie. Obciążająca praca, niewspółmiernie małe zarobki, konieczność korzystania z zasobów finansowych babki Florentyny.



**Antonina Steffen**  
żona Edwarda Steffena, seniora

Trzecim miejscem zamieszkania i pracy mojego ojca była Warszawa. Rodzice zamieszkali na Powiślu. Wybór ten nastąpił za namową doktora Karola Rychlińskiego, bliskiego krewnego mojej babki Amelii Steffenowej. Doktor Rychliński był lekarzem psychiatrą. Jego staraniem powstał Zakład Psychiatryczny w Drewnicy, osiedle Ząbki. Ojciec starał się połączyć praktykę na terenie Powiśla z pracą w Drewnicy, gdzie mógł zdobywać doświadczenie w postępowaniu i leczeniu umysłowo chorych. Ojciec nie poprzestał na wyszczególnionych dwóch kierunkach pracy. Dodatkowo chodził do Szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, gdzie zaczął zbierać materiały zakażeń położeńniczych w odpowiednim oddziale szpitalnym. Pozostawała jeszcze praktyka prywatna wśród ludności Powiśla, a właściwie biedoty tej dzielnicy Warszawy.

Jesienią 1903 roku ojciec objął pracę młodszego ordynatora w Szpitalu Psychiatrycznym w Tworkach. Rodzina nasza zamieszkała na terenie szpitala w budynku administracyjnym (starej administracji). Ojciec miał zagwarantowaną pracę i służbowe mieszkanie. Szybko zdobył zaufanie i szacunek władzy, sympatię kolegów lekarzy i reszty personelu. Na oddziałach pracowały szarytki w trudnych warunkach - wielu było ciężko chorych, niespokojnych, krzykliwych, szamotających się. Ojciec szybko potrafił zorganizować pracę i odpowiednio pokierować personelem. Niewątpliwie była w tym nieoceniona zasługa szarytek. O tym okresie pracy ojca opowiadała mi matka, a powtarzały to później również doświadczone pielęgniarki gdy byłem już lekarzem i jako internista konsultowałem oddziały szpitalne.

Atmosfera w naszym domu była bardzo dobra - matka była zadowolona z warunków zamieszkania i odciążenia męża od nadmiaru zajęć spełnianych w różnych, nie najlepszych warunkach. Babka Florentyna zamieszkała z nami. Wkrótce, gdy ojciec poczuł się już pewien przyszłości (były to lata 1904-1905), powstała myśl założenia spółki lekarskiej psychiatrów gotowych do podjęcia budowy i prowadzenia niewielkiego zakładu psychiatrycznego. Do spółki tej przystąpili lekarze: doktor Stanisław Bucelski ordynator Szpitala w Tworkach, doktor Karol Rychliński założyciel i kierownik Szpitala w Drewnicy, doktor Edward Steffen i Józef Klank, nie lekarz, lecz biegły w prowadzeniu administracji, wuj mojego ojca. Każdy z członków Spółki miał wpłacić równą sumę - w kwocie 12.000 rubli. Ojciec nasz otrzymał wymaganą sumę od babki Florentyny, która pozbyła się w tym celu nieruchomości w Kielcach. Ten ważny szczegół podaję specjalnie, żeby wyjaśnić panujące przez wiele lat przekonanie, że wkład ojca w budowę sanatorium pochodził z jego własnych oszczędności, które odkładane przez całe pracowite życie, były nader skromne.

Plac pod budowę sanatorium Spółka nabyła od rodziny Potulickich na terenie obejmującym nieczynną już kopalnię żwiru przy dawnej ulicy Pę-

cickiej. Wyeksploatowane złoża posłużyły do budowy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Część powstałego wykopaliska trzeba było wyrównać. Ojciec posadził tam później drzewa i ozdobne krzewy, czego bardzo pieczołowicie doгляdał, rozmawiając zwykle ze spacerującymi pacjentami.

We wrześniu 1906 roku, po zakończeniu budowy Sanatorium, które otrzymało nazwę "Wrzesin" (budowę zaczęto we wrześniu 1905, skończono ją rok później w 1906 roku) i nosiło ją przez wiele lat, obejmując okres II wojny światowej a nawet okres powojenny.

W sanatorium przewidziano miejsca dla 30-34 chorych przeważnie psychiatrycznych. Po otwarciu Sanatorium trzeba było przekazać zmienianą ilość miejsc dla stanów nerwicowych - nerwicy lękowej, nerwicy natręctw i po prostu neurastenii. Znalazły się również miejsca do prowadzenia leczenia odwykowego, na przykład morfinistów.

Z pacjentami obciążonymi fobiami (stanami lękowymi) i natręctwami ojciec miał dużo więcej pracy niż ze zdecydowanymi psychozami. Chorzy nerwicowi zajmowali lekarzowi dużo czasu, niektórzy przebywali z członkami rodziny - najczęściej chory mąż pod opieką żony. Seanse rozmów przeciągały się i dwoiły ze względu na osobę towarzyszącą, która zadawała pytania i czekała na bardziej wyczerpującą odpowiedź.

Sanatorium otwarte we wrześniu 1906 roku działało bez przerwy do początku wojny 1914 roku, ściślej do października tego roku, gdy wojska niemieckie przebiły się aż do Pruszkowa. Wskutek działań wojennych, we Wrzesinie niektóre budynki zostały zburzone. Chorych trzeba było ewakuować do Warszawy wraz z chorymi ze Szpitala w Tworkach. Odbyło się to nocą. Niektórych chorych zabraly rodziny, pozostałych umieścił nasz ojciec w udostępnionych izbach w Szpitalu Mokotowskim. Część ewakuowanych wróciła do Wrzesina, gdy wojska niemieckie zostały wyparte na wystarczającą odległość na Zachód. Najpotrzebniejsze remonty zostały wykonane we wczesnych miesiącach wiosennych 1915 roku.

Cofając się do lat wcześniejszych, należy wspomnieć, że w 1909 r. ojciec został ordynatorem dużego oddziału dla kobiet; okoliczność ta wymagała przeniesienia się naszej rodziny, zakwaterowanej od 1906 roku we Wrzesinie, do dużego mieszkania na terenie Tworek w budynku przeznaczonym dla personelu, na tak zwanej fermie, gdzie żyło się nam (moje zdanie), "jak u pana Boga za piecem". Był to okres od 1909 roku do lata 1915 roku. W naszej rodzinie było już w tym czasie czworo dzieci: oprócz mnie i brata Tadeusza, dwie siostry - Barbara i Maria.

Rok szkolny zaczęliśmy z bratem Tadeuszem w Warszawie w Gimnazjum im. hrab. Wielopolskiego. Dojeżdżaliśmy omnibusem szpitalnym, dostarczonym przez Zarząd Szpitala, do stacji Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Pruszkowie. Ten sam autobus zabierał po południu młodzież szkolną i uniwersytecką do mieszkańców na terenie Szpitala.



Po przeniesieniu się naszej rodziny do mieszkania na terenie Szpitala w Tworkach - we Wrzesinie zamieszkał i podjął opiekę nad chorymi doktor Tadeusz Gepner, jednocześnie zatrudniony również w Tworkach. Ojciec wówczas rzadziej i na krócej dojeżdżał do Wrzesina, zwykle bryczką jednokonną.

Wiosną 1915 roku zarządzono przygotowanie ewakuacji Szpitala Tworkowskiego. Chorzy mieli być umieszczeni w kilku szpitalach gubernialnych w Rosji. Przygotowano pociąg przystosowany do przewożenia umysłowo chorych. Okna wagonów były okratowane, drzwi zamykane na tak zwany "sekretny klucz". Ewakuowanym chorym towarzyszyła służba pielęgniarska, zespołem kierował lekarz psychiatra. Rodzina nasza jechała pierwszym pociągiem ewakuacyjnym, lekarzem eskortującym był doktor Wacław Knoff. Objechaliśmy przysłowiowy świat drogi. W Brześciu "Litewskim" wysadzono nas. Dalej pojechaliśmy już sami do Nieświeża: przez Baranowicze do stacji Horodyszczce, stamtąd na miejsce bałagłą żydowską.

Odszukaliśmy pana Suszyńskiego, który znalazł nam mieszkanie. Parterowy dom stał w sporym sadzie. Zagospodarowaliśmy się i poczuli spokojniej. Ojciec pojawił się po upływie kilkunastu dni. Kierował drugim ewakuacyjnym pociągiem.

Po przybyciu naszego ojca do Nieświeża dowiedzieliśmy się o planie naszej dalszej wędrowki po terenach Cesarskiej Rosji.

Pierwsza podróż prowadziła na południe do Guberni Chersońskiej, do majątku Ułaszynów - Mała Wiska. Majątek należał do rodziny chorego umysłowo, który od kilku lat przebywał we Wrzesinie. Po wybuchu wojny w 1914 roku chorego zabrała rodzina do swojego majątku na Ukrainie; towarzyszył mu doświadczony pielęgniarz.

Sześć tygodni później ojciec wezwał nas do Brińska, miasta powiatowego leżącego nad rzeką Desną, dużym dopływem Dniepru. Na lewym brzegu Desny była duża węzłowa stacja a przy niej Rygo-Orłowska osada. Na bocznicę kolejowej stał zestaw kilku wagonów trzeciej klasy przygotowanych do zakwaterowania umysłowo chorych żołnierzy zebranych z terenu północno-zachodniego frontu. Wagon II klasy był przeznaczony dla kierownictwa i personelu fachowego. Kuchnię umieszczono w wagonie towarowym. W wagonach dla chorych i personelu były zainstalowane kabiny kąpielowe. Pacjentów zakwalifikowanych jako umysłowo chorych dowożono do Moskwy, gdzie podlegali rozestaniu do różnych szpitali centralnej Rosji.

Gabinet lekarski, w którym pracował nasz ojciec i przydzielony doświadczony psychiatra, zajmował część naszego mieszkania wynajętego w sporym budynku parterowym obok nieźle urządzonej łaźni (bani). W wydzielonym pokoju pracował urzędnik wojskowy praporszczyk Ozolin.



**Antonina i Edward Steffenowie ; stoją za nimi siostry Antoniny: (od lewej) Klotylda i Gabriela Millerowiczówny.**

Brat mój Tadeusz i ja chodziliśmy do gimnazjum w mieście, dokąd w miesiącach letnich płynęliśmy statkiem parowym przez Desnę. Zimą trasę tę trzeba było pokonywać pieszo przez łąki, lub wyjeżdżoną drogą przez zamarzną Desnę.

Zachowałem dobre wspomnienia o naszej nauce w Miejskim Gimnazjum w Briańsku. Współzycie z kolegami było prawie serdeczne. Grono nauczycielskie nie robiło żadnych wyróżnień wobec uczniów, którzy znaleźli się tu w związku z toczącą się wojną, prawie pan-europejską. Wracającym do miejsc zamiesz-

kania uczniom wydawano cenzury, które otwierały później drogę do dalszej nauki.

Brat Tadeusz i ja kontynuowaliśmy pracę szkolną w Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki - kierunku filologiczny. Po trzech miesiącach nauki postępy nasze okazały się tak dobre, że zwolniono nas z opłaty za naukę i to do końca studiów gimnazjalnych.

\*\*\*

W lutym 1917 roku wybuchła w Rosji rewolucja. Zastała nas w gimnazjum. Zapanował niepokój, uczniowie ostatniej klasy maturalnej prowadzili agitację. Lekcje zostały przerwane, w budynku gimnazjalnym odbywały się wiece. Starsze klasy zgromadziły się przed szkołą, skąd wyruszył pochód w kierunku więzienia, gdzie miał połączyć się z uwolnionymi więźniami politycznymi. Nie wszyscy uczniowie dali się namówić na udział w pochodzie.

Ojciec przysłał po nas, to jest po mnie i brata, starszego podoficera Zajczkę z załogi Punktu Czerwonego Krzyża z poleceniem powrotu do



domu. W tym czasie ojciec nasz, a jego zwierzchnik, był w randze pułkownika.

W ciągu następnych dni było jeszcze sporo zamieszania w szkole. Jeden z kolegów mojej klasy, w przystępie wzburzenia strzelał z nagana do wiszącej na ścianie ikony. Po upływie kilku dni bieg nauki wrócił do normy.

Życie w mieście wolno wracało do stanu umożliwiającego współzycie. Sklepy zaopatrywały się w niezbędne towary. Do wakacji chodziliśmy bez przeszkód na nie zakończone wykłady szkolne. Przybyła nowa nauczycielka, młoda Polka, pani Wanda Kluźniakowa, która nosiła przypiętą odznakę ukończenia wyższych studiów.

Podobne odznaki mieli inni nauczyciele, tylko nauczycielki języka niemieckiego i francuskiego odznak takich nie nosiły, a może im nie przysługowały.

Pani Kluźniakowa uczyła nas fizyki. Po wojnie wydawało mi się, że widziałem ją w Pruszkowie, ale nie podszedłem, obawiając się pomyłki.

\*\*\*

Rok 1918 nie był już tak spokojny jak druga połowa poprzedniego. Zaczęły działać mniej zdyscyplinowane elementy. Na szczęście niepokój nie dotyczył naszego gimnazjum. Pod koniec roku szkolnego 1917/18 wiedzieliśmy, że jesienią zacznie się reewakuacja, w której i nasza rodzina powinna się znaleźć. Odebraliśmy cenzury, dokładnie wypełnione, obejmujące dwa ostatnie lata nauki szkolnej.

Były wakacje, trochę błąkaliśmy się po okolicy, po rozległych łąkach nad Desną i zaglądali do lasów rozpościerających się w pobliżu naszego domu. Mieliśmy w tym roku na wakacjach dwóch kolegów Rosjan, których poznaliśmy jeszcze przed ewakuacją na terenie Tworek. Byli siostrzeńcami pielęgniarki zatrudnionej w psychiatrycznym punkcie Czerwonego Krzyża u naszego ojca. W Tworkach rozmawialiśmy po polsku, w Brińsku przeszliśmy na język rosyjski, chociaż ich ciotka rozmawiała niezmiennie po polsku.

Rok szkolny 1917-1918 rozpoczął się o czasie i przebiegał bez przeszkód, tylko lekcje języka łacińskiego zaczęliśmy z opóźnieniem z braku odpowiedniego nauczyciela. Wreszcie znalazł się zwolniony z wojska student wydziału filologii klasycznej, z którym przerabialiśmy mowy Cicerona i Eneidę Wergiluisza. Tłumaczenia z łaciny sprawdzał nasz nauczyciel, śledząc tekst z tak zwanego klucza. Mnie pomogły przerabiane wcześniej, w Warszawie, teksty łacińskie z gramatyki oraz bardzo dobre tłumaczenia i reguły gramatyczne na poziomie zbliżonym do uniwersyteckiego, które poznałem w piątej klasie gimnazjalnej już w Brińsku, na lekcjach nauczyciela Chamienki <sup>x)</sup>

---

x) nauczyciel Dymitr syn Włodzimierza Chamienko bardzo dokładnie i nowocześnie tłumaczył zasady gramatyki i stylistyki łacińskiej.

Cenzury nasze były wzorowe, zarówno moja, jak i brata.

Języka ojczystego nie nauczyliśmy się w gimnazjum rosyjskim, ale w domu przerabialiśmy dokładnie podręcznik literatury polskiej profesora Ignacego Chrzanowskiego, co pozwoliło nam wysunąć się na czoło naszych klas po powrocie do gimnazjum w Warszawie.

Tymczasem zaczęły odjeżdżać do Kraju rodziny ewakuowanych pracowników różnych służb. Matka nasza stanowczo upominała ojca, żeby poczynił szybkie starania o papiery na nasz powrót do domu. Odpowiednie dokumenty mieliśmy już pod koniec sierpnia, ale wyjechaliśmy do Ojczyzny miesiąc później. Ojciec miał nas spotkać w Orszy na trasie kolejowej przez Mińsk, Brześć do Warszawy. Do repatriacji przygotowane były towarowe wagony kolejowe.

W naszym gronie rodzinnym mieliśmy urodzonego w Briańsku zaledwie dwuletniego brata Stasia. Jemu ta niezwykła podróż, na szczęście przy sprzyjającej pogodzie, ale niewystarczającym wyżywieniu, nie poszła na zdrowie. Był senny, blady, niesprawnie chodził. My, dorośli, żywiliśmy się korzystając z dłużej trwających postojów, podczas których można było rozniecić ogień i ugotować zupę. Mleko kupowaliśmy na targu lub na wsi, jeśli postój miał trwać dłużej. Na większych stacjach były bufety, niestety skąpo zaopatrzone. W Orszy chodziliśmy wspólnie z bratem na wieś po kartofle.

Postój w Orszy trwał kilkanaście dni. Przesiadanie do wagonów niemieckich odbywało się na linii demarkacyjnej obok kaplicy rzymsko katolickiej, chyba reliktu z pobytu wojsk polskich króla Stefana Batorego.

Wagony niemieckie były również towarowe, ale w lepszym stanie ogólnym, lepiej przygotowane na przyjęcie repatriantów. Zmieniła się obsługa. Żołnierze niemieccy zachowywali się krzykliwie, podoficer mówił po polsku, zapewne ślązak czy poznaniak.

Pociąg nie zwlekając odjechał, a my do ostatniej chwili wyglądaliśmy w kierunku, skąd mógł pokazać się nasz ojciec. Nie zdążył zabrać się z nami, ale zdobył odpowiednie dokumenty, co nam pozwalało oczekiwać spotkania z nim w dalszej drodze do Warszawy.

Nie zatrzymując się minęliśmy Mińsk, do niedawna nazywany Litewskim. W Baranowiczach zatrzymano nas na okres kwarantanny, która trwała kilkanaście dni. Odbyła się kąpiel, dezynfekcja odzieży i szczepienia ochronne. Duże pomieszczenia były poprzedzielane, prycze piętrowe, dostateczna czystość, ład i porządek. W przerwach między posiłkami (posiłki na sygnał dźwiękowy) i zabiegami w ambulatorium mogliśmy wychodzić poza ogrodzenie. Brat i ja korzystaliśmy z możliwości wyjścia do miasta. Jadąca z nami pani Niewiadomska, znająca język niemiecki, udała się z dokumentami naszej gromadki do komendy nadzorującej kwarantannę i

dalszy transport repatriantów do miejsc stałego zamieszkania. Zgodzono się, żebyśmy ominęli kolejność i odjechali najbliższym składem przygotowanego transportu.

W Siedlcach stanęliśmy przy rampie, gdzie wydano nam pożywną i smaczną zupę z porcją białego pieczywa.

W Warszawie zatrzymaliśmy się przy dworcu Gdańskim. Panie zdecydowały, że pojedą do Pruszkowa z bagażami, a my, chłopcy, odwiedzimy ciotkę Gabrielę, siostrę ojca mieszkającą przy ulicy Wspólnej w pensjonacie, który sama prowadziła.

U ciotki zatrzymaliśmy się krótko i jeszcze wieczorem przyjechaliśmy do Wrzesina, gdzie zastaliśmy już matkę z siostrami i Stasiem.

Sanatorium było czynne, ale w ograniczonym zakresie. Prowadziła je pani Bucelska, wdowa po doktorze Stanisławie Bucelskim. Opiekę lekarską sprawował umówiony lekarz ogólny. Zespół chorych nie sprawiał większych trudności - byli to zasadniczo chronicy. Pani Bucelska skorzystała z tego, że w Pruszkowie zaczęła działać elektrownia, miała ale przewidziana do rozbudowy. We Wrzesinie zamieniono dotąd istniejące oświetlenie gazowe, oparte na zastosowaniu benzyny, na elektryczne, o wiele bezpieczniejsze, szczególnie przy umysłowo chorych. W piecach do ogrzewania pomieszczeń w sezonie chłódów wykorzystano mieszankę węgla kamiennego z torfem, którego użycie stało się konieczne w tym okresie wojny.

Pani Bucelska zaproponowała naszej matce przejęcie gospodarki razem z oddziałem chorych.

Z nastaniem chłódów, co miało miejsce niedługo po naszym powrocie i zamieszkaniu we Wrzesinie, odrabialiśmy lekcje okryci kocami, nieraz do późnych godzin wieczornych. Oceny za roczną naukę w Warszawie w gimnazjum filologicznym im. św. Stanisława Kostki, wypadły dobrze. Rok szkolny 1919 był dla mnie ostatnim w gimnazjum. Na zakończenie nauki, w dniu rozdania matur mnie przypadło wygłoszenie podziękowania - przede wszystkim panu dyrektorowi Jaczynowskiemu, księdzu prefektowi Romanowi Archutowskiemu i pozostałym członkom grona nauczycielskiego. Brat Tadeusz otrzymał dobrą cenzurę do klasy maturalnej.

Był już czerwiec 1920 roku. Od ojca nie było wiadomości, a poszukiwania z naszej strony były daremne, gdyż nie znaleźliśmy miejsca pobytu ojca na wschód od ziemi, które przejęliśmy traktatem po zakończeniu walk w 1920 roku.

Latem 1920 roku nasze wojska zaczęły cofać się pod naporem przeważających sił wschodniego zaborcy. Władze szkół wyższych w porozumieniu z Bratnią Pomocą poszczególnych uczelni ogłosiły, że nabór młodzieży na studia w roku 1920/21 będzie uzależniony od okazania zaświadczeń o odbytej ochotniczo służbie wojskowej. Spełniłem ten obowiązek w pułku artylerii



Tosia z Millerowiczów Steffenowa

Administrację objął na życzenie doktora pan Józef Kwasiborski, student medycyny, rzutki administrator, jeszcze odrabiający ochotniczą służbę wojskową, która miała trwać do kwietnia 1921 roku. Matka nasza nadal pracowała jako kierowniczka gospodarki żywnościowej we Wrzesinie.

\*\*\*

Jesienią 1921 roku ojciec wrócił ze Związku Radzieckiego. Dopiero wówczas dowiedzieliśmy się, jakie były losy ojca od pożegnania się z nami w Orszy na linii demarkacyjnej między Związkiem Radzieckim a terytorium zajęтым przez wojska niemieckie. Po bezskutecznych staraniach o papiery na powrót do Pruszkowa ojciec został skierowany do Szpitala Psychiatrycznego w Permie u podnóża Uralu. O pracy w tej instytucji dowiedzieliśmy się od ojca niewiele, ale pożegnanie zgotowane przez załogę tego szpitala było serdeczne. Ojciec przywiózł zdjęcie grupowe przedstawiające zespół pracowników, pośrodku lekarz naczelny - nasz ojciec. Na odwrocie tej fotografii zapisano piękne słowa dające się streścić w jednym zdaniu. Piszę to po rosyjsku i w tłumaczeniu polskim:

motorowej najcięższej, stacjonującej w Warszawie, brat Tadeusz odbył służbę ochotniczą w dywizjonie artylerii konnej w Górze Kalwarii. Brat odbył z tą jednostką daleką drogę na Wschód w kierunku Kijowa. Czekaliśmy na jego powrót z niepokojem.

Późną jesienią 1920 roku zostałem przyjęty na medycynę na Uniwersytecie Warszawskim. Tadeusz następnego roku został studentem wydziału elektrycznego Politechniki Warszawskiej.

Po zawarciu rozejmu ze Związkiem Radzieckim i ustaleniu wschodniej granicy naszego państwa odżyła nadzieja na powrót naszego ojca, chociaż nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości.

We Wrzesinie po objęciu opieki nad chorymi przez doktora Józefa Handelsmana, ordynatora Szpitala w Tworkach, szybko osiągnięto pełne obłożenie wolnych łóżek.

**"Wragu nieprymyrynomu wsiakowo gniota" - nieprzejednanemu wrogowi wszelkiej przemocy.**

Na pożegnanie odbyło się nabożeństwo w kościele za pomyślność powrotu ojca do gniazda rodzinnego. Fotografia, niestety, zaginęła podcza II wojny światowej, a była to bardzo bolesna strata, bo dowód określający osobowość naszego ojca takim, jakim był i pozostał nie tylko w naszej pamięci.

Powitanie z ojcem odbyło się z obopólną ogromną radością. Jak już wspomniałem, w drodze powrotnej, po przekroczeniu granicy w Baranowiczach, poddawano powracających do rodzinnych stron w Polsce kilkunastodniowej kwarantannie. Ojcu ostrzyżono włosy i zdezynfekowano odzież, dość wyraźnie niszcząc ją w tym odkażaniu. Taka odzież nie licowała z wyglądem ojca, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni; ojciec był zawsze elegancko, ale nie przesadnie, ubrany.

Znalazłem się w domu we Wrzesinie prawie nocą, gdyż mieszkalem w tym czasie w Warszawie w rodzinie kilkunastoletniego ucznia, któremu pomagałem w nauce. Nie mało sił trzeba było dołożyć, żeby pogodzić podjęte przeze mnie dodatkowe obowiązki, nie zaniedbując własnych, uniwersyteckich. Moje usamodzielnienie się pozwoliło odciążyć naszą matkę w zabezpieczaniu reszty dzieci. Nasza pozycja życiowa, którą ojciec zastał, była dla niego zaskoczeniem, ale i radością. Tylko edukacja siostr wymagała uzupełnienia.

Po powitaniu, które odbyło się z płaczem z mojej strony, przeszliśmy na sprawy domowe. Ojciec był zainteresowany moimi studiami lekarskimi. Część obsady profesorskiej ojciec znał i aprobował, ale byli również profesorowie sprowadzeni spoza Warszawy tak, jakby w stolicy brakowało wybitnych lekarzy, godnych zajęcia profesorskich wakatów. Ojciec interesował się na przykład okulistyką, podawał nazwiska kilku wybitnych lekarzy warszawskich w pełni zasługujących na objęcie profesorskich stanowisk. Z zakresu okulistyki ojciec wymieniał nazwiska - Gepner, Kamocki i Gałęzowski. Pytał o dermatologa Bernhardta, Edwarda Zielińskiego ze Szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, wybitnego znawcę chorób wewnętrznych i świetną kadrę anatomopatologów z tegoż szpitala.

Zaprezentowałem ojcu profesora anatomii opisowej ciała ludzkiego Edwarda Lotha, którego - jak się okazało - genealogię znał. Dla nas studentów odrabiających drugi rok pracy w prosektorium profesor Loth był kimś wyjątkowym - ceniony, lubiany, chociaż wymagał posłuchu, a na egzaminie nie tylko znajomości wykładanego przez siebie przedmiotu, ale zilustrowania go zręcznym rysunkiem. Profesor Edward Loth zginął w Powstaniu Warszawskim.

\*\*\*





**Edward Steffen - junior**

Ojciec po powrocie ze Związku Radzieckiego był w pewnym stanie zagubienia. Nie mógł najwidoczniej znaleźć się w nowej sytuacji. Szpitalem w Tworkach kierował nie znany ojcu bliżej lekarz. Z kadry przedwojennych lekarzy mało kto pozostał, trzeba było poczekać, budować nową rzeczywistość.

Przez kilka tygodni ojciec dojeżdżał do Szpitala w Drewnicy, nie gwoli zarobkowania, lecz chęci utrzymania więzi z chorymi, którym w swojej praktyce psychiatrycznej poświęcił już sporo lat. Niestety, dojazdy z przesiadkami były obciążające, a atmosfera panująca w szpitalu nie rokowała dobrej współpracy.

Z powrotem ojca do kraju, korzystanie z uprzejmości doktora Józefa Handelsmana, który jak wspominałem, opiekował się chorymi we Wrzesinie, należało jakoś subtelnie rozwiązać. Nie było to łatwe. Zapewniono dalsze konsylia, ale uczucie długu moralnego trwało u ojca do końca życia.

Po zaprzestaniu pracy w Drewnicy ojciec poświęcał więcej czasu Wrzesinowi, nie tylko chorym ale i administracji sanatorium. Kasa Chorych, która już przed wojną 1914-1918 nawiązała krótko trwającą współpracę z ojcem, zwróciła się obecnie z propozycją objęcia przez niego stanowiska lekarza rejonowego.

Z objęciem tego stanowiska zaczął się szczególnie okres w pracy ojca - można by go nazwać legendarnym.

Ojciec nie liczył się z ilością godzin pracy, przekraczał je, gdy wymagały tego potrzeby chorych. Za przepracowane godziny nadliczbowe nie



wymagał pieniężnego wyrównania. Pracując w rejonie, kiedy zorientował się w złej sytuacji finansowej rodziny chorego, zgłaszał sprawę do działającego w tym czasie PCK lub RGO, wnioskując o wyasygnowanie pewnej sumy pieniędzy na lekarstwa i dożywianie. Zimą, gdy zastał chłód w pokoju chorego dorzucał do pieca paliwo, a tam gdzie ogień był wygaszony próbował go rozniecić. Nie sądzę, żeby wydarzało się to zbyt często, ale powtarzano fakty te między rodzinami chorych i przetrwały one w historii rodziny.

Ojciec wracał do domu późnym wieczorem. Był zmęczony i głodny, chyba że po drodze trafił na czynny jeszcze bar, gdzie mógł zaspokoić głód. W rozmowie ze znanym w Pruszkowie właścicielem baru - restauracji dowiedziałem się, że ojciec przy takim doraźnym dożywianiu się, zwykle po drodze, nie odmawiał wypicia średniego kieliszka czystej wódki z wermutem. Ta lekarska dawka alkoholu dodawała energii do dalszej pracy, usuwając uczucie zmęczenia.

W tym okresie ciężkiej i niewdzięcznej pracy ojca często można go było zastać wśród największej biedoty w pruszkowskich "murowańcach", gdzie zdarzało się, że odbierał porody, rozdawał leki i żywność.

Od wydarzeń o których piszę, minęło już 50 lat. Wielu świadków tamtych czasów nie żyje, wspomnienia przybladły, a legenda o naszym ojcu lekarzu - społeczniku, jak o nim wówczas mówiono, prawie wygasła.

\*\*\*

Pod koniec lat dwudziestych zaproponowano Ojcu powrót na stanowisko starszego ordynatora Szpitala w Tworkach. Musiała temu sprzyjać dobra wieść o pracy w Ubezpieczalni Społecznej, ale i nawiązanie łączności sanatorium Wrzesin z poważnymi lekarzami w szpitalu psychiatrycznym, gdzie ojciec demonstrował na posiedzeniach lekarskich bardziej interesujących chorych z Wrzesina, a także odbywające się konsylia na miejscu w sanatorium. Wreszcie i to, że ojciec, doświadczony psychiatra, zajmuje się pracą w zakresie medycyny ogólnej w rejonie.

Na wiadomość o przeniesieniu ojca z Ubezpieczalni Społecznej do Szpitala w Tworkach, pacjenci byli niepokieszeni. Ojcu również nie była obojętna zmiana pracy, był bowiem już żyty ze swoimi chorymi i ich rodzinami.

Lata od powrotu ojca do pracy w Tworkach do wybuchu II wojny światowej były okresem przebiegającym z pewnym spokojem, pozwalającym ojcu zajmować się również sprawami społecznymi. Na terenie szpitala ojciec organizował życie teatralne. Ze sztuk, które reżyserował i sam brał w nich udział, pamiętam "Adwokata i różę" i "Żeglarza" - obie sztuki Jerzego Szaniawskiego. W "Żeglarzu" kreował główną rolę.

W życiu miasta Pruszkowa był to okres członkostwa w Radzie Miejskiej i przewodniczenie w Organizacji Czerwonego Krzyża, której praca przyniosła w okresie II wojny światowej nieocenione korzyści.

Nie miałem dostatecznej ilości wolnego czasu, żeby móc odwiedzać ojca w jego miejscu pracy.

Pamiętam jednak dokładnie oddział dla podsądnych, mieszczący się w IX nowo wybudowanym pawilonie. Podczas odwiedzin zastałem ojca w gabinecie, obok urzędował starszy pielęgniarz z zasłużonej rodziny Prokopowiczów, prawa ręka ordynatora. Ojciec prowadził rozmowę dotyczącą najbardziej istotnych spraw związanych z życiem codziennym w szpitalu.

Oddziału nie zwiedzałem, ale interesowała mnie opinia sądowno-lekarska dotycząca żołnierza narodowości żydowskiej, który nękanym przez starszego podoficera, zastrzelił go. Sprawa oparła się o wyższy rangą zespół wojskowy. Jak pamiętam, opinia wystawiona przez ojca i dyrektora Łuniewskiego była dla chorego pozytywna. Obaj lekarze nieustępliwie stali przy swojej opinii, mimo nacisku ze strony przedstawicieli wojska.

Inna sprawa dotyczyła sekty starowierców z Kresów Wschodnich. Praktyki religijne, stosowane przez przywódców sekty, były karygodne. Ojciec opracował opinię pisaną stylem biblijnym. Opinia ta znalazła się w druku i omawiana była nie tylko w gronie lekarzy psychiatrów ale i wśród słuchaczy medycyny i prawa na Uniwersytecie Warszawskim.

Pracując w oddziale ojciec miał zwyczaj zabierania z sobą do mieszkania wybranych chorych, zostawiając im pewną swobodę, sam zaś pisał historie choroby, najczęściej chorych z oddziału, nieobecnych w danej chwili. Często bywali to pacjenci gadatliwi. Ojciec słuchał, rzadko odpowiadał. Poza tym byli też nieliczni, wybrani chorzy, którzy mieli dostęp do kantyny szpitalnej. Tam upoważnieni chorzy mogli zaopatrywać się w produkty spożywcze. Rachunek był regulowany z konta naszego ojca.

\*\*\*

Z wybuchem wojny w 1939 roku Szpital Tworki musiał ścieśnić oddziały dla chorych psychicznie, żeby umożliwić przyjęcie rannych żołnierzy napływających po walkach toczących się w okolicy Ożarowa, Lasów Heleńskich. Szpital był przepełniony. Już na początku brakowało pieniędzy i żywności. Śmiertelność wśród rannych i chorych była duża.

Już w pierwszych dniach okupacji mianowano na stanowisko dyrektora naczelnego w Tworkach - Honnetta. Przydzielono mu dwóch pomocników i niższe jednostki wykonawcze.

W szpitalu wprowadzono rządy okupacyjne, które dotyczyły nie tylko personelu niższego, ale i lekarzy. Praca lekarzy została ujęta w okupacyjny reżim, którego Niemcy ściśle przestrzegali. Od tej pory praca ojca odbywała się pod nadzorem zwierzchnika niemieckiego.

W styczniu 1943 roku zmarł dyrektor Witold Łuniewski, jego miejsce, właściwie lekarza naczelnego, objął nasz ojciec. Wtedy całe dni poświęcał pracy w szpitalu i sprawom publicznym. Wymagało to ciągłego wysiłku, tylko niewiele czasu mógł poświęcić żeby wstąpić do domu, pożywić się i odpocząć. Kiedy przychodził, zmęczony i przygnębiony, krótko odpoczywał i czuwał - gotowy stawić się na każde wezwanie.

Podczas Powstania Warszawskiego pracy jeszcze przybyło, gdyż część chorych musiano umieścić w oddziałach psychiatrycznych, po uprzednim przygotowaniu miejsc w innych oddziałach dla tych przeniesionych chorych.

Ta wymiana czasem dała się załatwić po sprawdzeniu, że osoby skierowane na obserwację nie były chore, lecz zmęczone i niedożywione. Takich chorych zabierali pod opiekę domową uczynni obywatele Pruszkowa, czy okolicznych osiedli.

Podobnym mechanizmem posługiwaliśmy się również w oddziale wewnętrzno-zakaźnym Szpitala Miejskiego w Pruszkowie. Odpowiedzialność za ten mechanizm ponosiłem osobiście jako ordynator oddziału.

\*\*\*

W dniu 17 stycznia 1945 roku władze niemieckie opuściły Pruszków. Zaczął się szybki, ale mniej sprawny odwrót, w którym znalazła się również "niemiecka załoga" Szpitala w Tworkach. Wśród pracowników Szpitala przychodziła do głosu PPR-owska władza.

W kilka tygodni po odejściu władzy niemieckiej odbyło się zebranie organizacyjne. Zwołano Radę Zakładową złożoną z pracowników, wśród których znalazło się kilku nie tak dawno pracujących w Szpitalu. Na tym zebraniu pewna grupa, zresztą niezbyt dobrze zapisana w dalszej historii swojej działalności, wystąpiła przeciw zatrzymaniu na stanowisku naczelnego lekarza doktora Edwarda Steffena (ojca), twierdząc, że jest posesjonatem, to znaczy właścicielem prywatnego sanatorium i jako taki nie powinien zajmować stanowiska dyrektora państwowego szpitala. Kto znał pracę ojca jak najchętniej oddawał głos za pozostawieniem go na zajmowanym dotychczas stanowisku - ale przepadał wobec większej ilości pracowników. Pomijając treść wykrzykiwanych sprzeciwów, stawiane zarzuty nie opierały się na prawdzie, przeciwnie: były krzywdzącym oszczerstwem.

Ojciec z wielką przykrością przyjął to wyzywające propartyjne wystąpienie, które później potwierdziło gołosłowność tych osób, działających dla własnej służalczej korzyści.

W dniu 6 kwietnia 1945 roku ojciec zmarł nagle, podnosząc się rano z łóżka, zapewne po nie przespanej nocy.

W 1918 roku ojciec bezskutecznie starał się w Moskwie o papiery umożliwiający tranzyt do Kraju. W tych warunkach przyjął propozycję objęcia stanowiska kierownika Szpitala Psychiatrycznego w Permskiej Oblaści, u podnóża Uralu. W 1921 roku jesienią ojciec uzyskał odpowiednie dokumenty i udał się w powrotną drogę do Kraju.

Zespół pracowników Szpitala napisał na pożegnanie piękne i wzruszające słowa na odwrocie grupowego zdjęcia pracującego z Ojcem personelu. Przytaczam jeszcze raz w tej publikacji użyte zdanie, które mówi samo za siebie:

**"Wragu nieprimiryomomu wsiakowo gniota" - nieprzejednanemu wrogowi wszelkiej przemocy.**

Ta sama grupa pracowników zęgnęła ojca z żalem na nabożeństwie za jego szczęśliwy powrót do Polski, a miało to miejsce w latach bardzo ciężkich zmaganiań rewolucyjnych, kiedy narzucano wyrzeczenia się wiary.

Mijały lata, a obok grobu naszego ojca można było spotkać chorych szpitalnych, szczególnie w dniu jego imienin. To niewątpliwy, bezinteresowny dowód szacunku i przywiązania do swojego Lekarza i Opiekuna.

Mnie, piszącemu o tych wydarzeniach synowi, trudno jest nie przytoczyć zachowania innego środowiska ludzi, w którym nasz ojciec w zaledwie kilkuletnim okresie pracy zdobył szacunek i zaufanie. Dlatego musiałem jeszcze raz skreślić postawę pracowników Szpitala w odległym Permie w latach panującego bezprawia.

